



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Irena Barbara Majewska

Wojenne wspomnienia Basi

Pierwszego sierpnia 1944 r. miałam 10 lat i mieszkałam z rodzicami i siostrą 5 letnią Marylką w Prudentialu na Placu Napoleona, obecnie Plac Powstańców. Mieszkaliśmy na 6 piętrze w służbowym mieszkaniu. Nasz tata był elektrykiem i pracował jako konserwator całego budynku od 1 stycznia 1937 roku. Pamiętam nazwiska pracowników technicznych, którzy również mieszkali w miejscu pracy. To byli: pan Aleksander Kuźma, pan Wojtczak, pan Stępień i pan Zalewski. Dyrektorem był pan Ordyński.

Na początku okupacji stacjonowało w budynku niemieckie wojsko – Wehrmacht. Były tu koszary i była kantyna. Nasz tata przynosił nam zupę grochową i pyzy nazywane mięsem. Tata musiał umieć się z nimi dogadywać, po wojnie dowiedziałam się, że pośredniczył w sprzedawaniu broni przez Niemców naszym partyzantom. Na piętrach powstały biura niemieckie i mieszkaly całe rodziny. Na ósmym piętrze mieszkała rodzina Świrców z córką w moim wieku. Wyżej mieszkała rodzina państwa Prądyńskich. Na drugim piętrze były biura przedsiębiorstwa „Hartwig”.

Pierwszego sierpnia usłyszeliśmy strzały około godz. 16.30. Tata przyszedł i kazał nam się schować do łazienki, bo tam nie było okien. W drapaczu chmur, jak nazywano popularnie Prudential, były dwie klatki schodowe frontowa i kuchenna. W pewnej chwili na klatce frontowej pojawili się powstańcy, a za chwilę na klatce kuchennej żandarmi. I jedni, i drudzy pytali się czy nie widzieliśmy tych drugich. Powstańcy mieli opaski biało-czerwone, żandarmi byli uzbrojeni w karabiny. W nocy spaliliśmy już w schronach w podziemiu. Tata miał tam trzy pakamery. W jednej spaliśmy my obie z mamą, w drugiej tata z kolegą p. Eugeniuszem Sikorskim. Kolega ten mieszkał na Grochowie, a przyszedł w odwiedziny i już pozostał na cały okres powstania z nami. Tata nasz przez całą wojnę nocami słuchał radia, które zachował jeszcze przed wybuchem wojny. W obawie przed konsekwencjami, gdyby go złapano za posiadanie, miał je dobrze schowane. Wszyscy wiedzieli, że konsekwencje to wywóz do obozu koncentracyjnego.

Na początku dostawaliśmy na kartki chleb razowy i marmoladę. Potem zaczęli handel szmuklerzy, którzy zaopatrywali mieszkańców w mięso. Brat naszej Mamy wujek Józek chodził na handel do Rzeszy (my mieszkaliśmy w Generalnej Guberni). W nocy przekraczał granice i w plecaku przynosił mięso kupione od rolników. Rolnicy hodowali świnie po kryjomu i po cichu sprzedawali mięso z nich szmuglerom. Za złapanie ich na tym procederze mogli wszyscy stracić nawet życie.

Wróć do wspomnień o powstaniu. Tata się rozchorował z nerwów i mówił, że powstanie nie ma żadnych szans na wygranie. 4-go sierpnia Niemcy tak bombardowali nasz drapacz, że uszkodzone zostały rury wodociągowe i gazowe. Podziemie, w którym przebywaliśmy zostało zalane. Tata wraz z p. Gienkiem odprowadził wodę z podziemia – nie wiem jak to zrobili. Razem z nami w podziemiach było około 200 osób, które siedziały na schodach i gdzie się dało. Byli to ludzie z okolicznych domów. Tata przynosił

mąkę, groch, fasolę, olej i cukier. Z mąką chodził na ulicę Tamkę do sióstr zakonnych, a one piekły chleb, a tata po przyniesieniu rozdawał go koczującym ludziom. Pewnego dnia spadł ogromny pocisk w nasze podziemia. Był to niewypał. Te 200 osób, które koczowało, momentalnie uciekło ze strachu. Pozostały tylko rodziny, które w tym budynku mieszkały. Przychodzili i odchodzili powstańcy. Przyszli powstańcy ze Starówki – kanałami. Byli bardzo brudni i zmęczeni. Były dni, że w budynku nie było powstańców, a na ulicy Mazowieckiej stali Niemcy. Tata bał się, że przyjdą do nas Niemcy i obrzucą nas granatami. Na szczęście tak się nie stało. Mieliśmy do oświetlenia lampki karbidowe, a mama gotowała na kuchence zwanej prymusem na czystym spirytusie. Spirytus był z apteki, apteka była w drapaczu. Pewnego razu tata przyniósł uratowanego z pożaru burego kota. Kot jadł gotowane przez Mamę zupy, upasł się tak bardzo, że powstańcy zabili go z pistoletu i mięso zjedli. Była też biała kotka, która się okociła, a Tata musiał te kociaki utopić. Pewnej nocy przyszli powstańcy, młodzi chłopcy. Niemcy nie bombardowali, było cicho. Chłopcy ci zrobili dla nas przedstawienie w kawiarni „Maxim”. Okna wychodziły na ulicę Świętokrzyską. Powstańcy za prześcieradłem umieścili karbidówkę i zrobili teatr cieni. W nocy jak wyszliśmy na dwór to cała Warszawa była w ogniu, wszędzie się paliło. Pewnego razu było cicho i mama pozwoliła nam dwóm wyjść na podwórko. Było bardzo ciepło i świeciło słońce. Raptem usłyszałam warkot samolotów. Pobiegliśmy do schronu po schodach. Niestety zaczęło się bombardowanie i nie zdążyliśmy dobiec. Był straszny huk i kurz. Cały drapacz się chwiał. Na nasze krzyki zareagowała sąsiadka pani Stępniakowa, która nas wciągnęła z klatki schodowej do pomieszczenia, w którym mieszkała. Po odlocie samolotów sprowadziła nas na dół, gdzie rodzice, a najbardziej mama przeżywali horror czy nas jeszcze zobaczą. Długo miałam w gardle ten kurz, Marylka go zwymiotowała. Więcej już nie wychodziłyśmy i nie widziałyśmy do końca powstania słońca.

3 października po dwóch miesiącach powstania nastąpiło zawieszenie broni. Powstanie upadło, jak to nasz tata przewidywał. Wyszliśmy z piwnic i schronów, z tobołkami poszliśmy Alejami Jeruzolimskimi do Dworca Głównego. Tam nakazano nam wsiąść do pociągu i zawieziono do Pruszkowa. W Pruszkowie była ogromna hala, gdzie spędzono tłumy warszawiaków. Czerwony Krzyż organizował dla nas jakąś zupę. Wszyscy siedzieli na swoich tobołkach i na ziemi. Nie pamiętam ile czasu i dni tam koczowaliśmy. Pamiętam, że któregoś dnia kazano nam iść na dworzec kolejowy, a tam żandarmi segregowali ludzi na dwie strony. Na prawo młodych i zdolnych do pracy, na lewo starych i matki z dziećmi. Tatę – 35 latka, skierowano na prawo i transportem wywieziono do pracy do Berlina. Tam ponownie przeżył tak samo bombardowanie, jak w powstanie w Warszawie. Mamę, wraz z nami i sąsiadką panią Wojtczakową, skierowano na lewo do transportu wagonami bydłecymi do Oświęcimia (niemiecki obóz koncentracyjny Auschwitz). Jechaliśmy kilka dni, a pociąg zatrzymywał się co kilka godzin. Nie pamiętam, co jedliśmy i gdzie się załatwialiśmy. Stłoczeni do ostatnich granic możliwości. Jak jedni siedzieli to drudzy musieli stać. Oświęcim był przeładowany, że naszego transportu nie przyjął. Cofnięto nas do Tarnowa. W Tarnowie zaprowadzono nas do szkoły i tam dostaliśmy czarnego chleba. Organizacją zajmowało się R.G.O. W Tarnowie w tej szkole byliśmy krótko. Przyjechał chłop furmanką i zabrał nas do chałupy kilka kilometrów od Tarnowa. Tam dostaliśmy jedzenie, a spaliśmy we czwórce na podłodze na słomie, przykryte ogromną, pierzyną. Po jakimś czasie mama stwierdziła, że jesteśmy za daleko od Warszawy i wracamy. Ze Starego Sącza słychać było strzały, zbliżał się front rosyjski ze wschodu. Jechaliśmy pociągami w stronę Warszawy, a pani Wojtczakowa po drodze gdzieś się od nas odłączyła. Po jakimś czasie pociąg zatrzymał się w Skierniewicach. Tłumy ludzi na dworcu, całe rodziny, a nasza mama samotna z nami dwiema. I nagle w tym tłumie odnalazł się wujek Józek – mamy brat. Miał przytrzaśnięty drzwiami jakiegoś wagonu palec. Radość mamy była ogromna, że już nie była sama w tym tłumie. Ze Skierniewic pociągiem dojechaliliśmy do Łagowa, a z Łagowa do wsi Bobiecko. Tam sołtys przydzielił nas do gospodarzy. Gospodarze mogli sobie wybierać, kogo chcieli – jak na targu niewolników. Oczywiście patrzyli pod kątem przydatności do pracy. Nazywali nas darmozjadami i wytykali, że zachciało nam się powstania. Mnie rozdzielono z mamą i siostrą. Przyjęło mnie bezdzietne małżeństwo mające parobka o imieniu Maniek. Doszli do wniosku, że 10-letnia dziewczynka przyda się do pasania krów, a mamę z siostrą przygarnęli gospodarze mieszkający na drugim końcu wsi. Odległość ode mnie około 1 km. A był to koniec listopada, początek grudnia. Leżał śnieg. Ja miałam na szczęście palto zimowe, ale buty jesienne, nie na śniegi i mrozy. Do tego spodnie drelichowe. Marylka miała kozuszek, a mama tzw. kapce, wówczas modne. U tych gospodarzy, u których mieszkała mama z Marylką, jeść miała tylko mama, a Marylka miała jadać u gospodarzy naprzeciwno. Kiedy mamy gospodarze zorientowali się jak moja siostra mało je, ulitowali się i zgodzili żeby jadła u nich i nie chodziła do innych. Nasza mama chodziła do Tyszkowa i przynosiła z cukrowni cukier, którym handlowała i za zarobione pieniądze kupowała chleb. Ile razy poszłam do mamy to mogłam się chociaż jego najeść. Gospodyni moja dawała mi jeść w małym rondelku nazywanym tygielkiem. Byłam niestety ciągle głodna. Ponieważ miałam długie włosy, a z myciem ich był kłopot złapałam wszy. Wszy też miała siostrzenica gospodyni mamy o imieniu Tosia. Gospodyni wyczesywała Tosi włosy zabijając wszy nożem, a potem tym nożem kroila dla wszystkich chleb.

Okolo 17-18 stycznia wjechali ciężarówkami do wsi Rosjanie. Było zimno, śnieg i mróz. Wchodzili do chałup, myli się i ogrzewali, coś zjedli. Niemców już nie było. Rano odjechali. Warszawa była wyzwolona. Mama z wujkiem Józkiem, jego żoną, cicią Janką postanowili pojechać do Warszawy, żeby zobaczyć, co ocalało z zamurowanych na drapaczu rzeczy przed wyjściem po powstaniu.

My zostałyśmy u naszych gospodarzy. Niestety z zamurowanych rzeczy pozostały tylko porozrzucane fotografie i albumy, resztę rozkradziono. Ponieważ o schowku wiedziało niewiele osób, to rodzice doszli do wniosku, że złodziejami musiał być niestety „swój”. Rzeczywiście u jednych z sąsiadów, już po powrocie do Warszawy mama odnalazła oznaczoną przez siebie koldrę. Po kilku dniach mama wróciła po nas i wyruszyłyśmy do mamy siostry, ciotki Ludwiki do wsi Słoszewo. Przy rozstawianiu się z tatą w Pruszkowie umówili się, że się spotkają po wojnie właśnie tam. Podróż z Bobiecka do Słoszewa trwała kilka dni. Pociągi dojeżdżały do przedmieścia Warszawy, a potem trzeba było wędrować piechotą. Cały niewielki dobytek jechał na furmance, za którą szliśmy. Ja przeszłam 27 km piechotą, moja siostra trochę pieszo, a trochę na furmance. Potem na jakiejś stacji czekałyśmy na pociąg, który miał nas zawieść do Płońsk. Był nadal mróz, bardzo marzłyśmy. Najbardziej nogi. Pamiętam jak mama owijała nam nogi gazetami żeby w butach było cieplej. Nie pamiętam, co i kiedy jadłyśmy, znalazłyśmy się w Słoszewie u ciotki Ludwiki. Pamiętam natomiast jak smakowały tzw. szare kluski z kartofli i placki ziemniaczane, które smażyła nam na kuchni bezpośrednio Marysia, córka ciotki Ludwiki. To były prawdziwe rarytasy.

Nastąpił koniec wojny i wyzwolenie Berlina. Wrócił do nas do Słoszewa Tata. Jak opowiadał, jechał trochę rowerem i autostopem. Radość była ogromna, bo przecież nikt nie mógł przewidzieć czy przeżyjemy. Pamięć o tych dniach lęku i strachu pozostała długo we mnie, bo na warkot samolotu reagowałam lękiem, że zaraz zacznie się bombardowanie. Wróciliśmy wszyscy do Warszawy. Zamieszkaliśmy w kamienicy ocalałej po wojnie – Wspólna 54a róg Poznańskiej. Przed wojną mieszkała w tym mieszkaniu siostra taty ciotka Janka. Ona wraz z mężem przeprowadziła się do Łodzi. Bardzo dużo warszawiaków wyprowadziło się do innych miast nie wierząc, że Warszawa zostanie odbudowana. Nasz tata nie wyobrażał sobie życia poza swoim miastem. Pracował w fabryce Dobrolin. Chodził i patrzył jak buduje się MDM, trasa W-Z i cieszył się, że miasto odbudowuje się.

1-go września 1945 r. poszłam do szkoły do IV klasy. Szkoła była na Marszałkowskiej 95 róg Żurawiej. W czasie okupacji chodziłam do klas od I do III na ulicę Sewerynową za Teatrem Polskim. Chodziłam z Placu Napoleona koło pomnika Kopernika ulicą Świętokrzyską i Krakowskim Przedmieściem. Pomnik Kopernika został przez Niemców przetopiony na kule. Do I komunii św. przystąpiłam w kościele Św. Krzyża. Przygotowywał mnie do niej ksiądz Paszyna. Wracając do szkoły, po wojnie przeniesiono starsze dzieci do szkoły w baraku za kościołem przy Placu Zbawiciela.

Po 40 latach wróciłam do swojej parafii św. Trójcy na ulicy Solec. W parafii Św. Trójcy byłam ochrzczona 29 lipca 1934 roku. Moja siostra Maria Antonina urodzona 13 czerwca 1939 roku ochrzczona była 3 września 1939 roku jak już okupanci bombardowali Warszawę. Na początku września 1939 roku ludzie opuszczali swoje domy na wsiach i w miastach i wędrowali na wschód. Przemieszczali się piechotą lub na wozach ze swoim dobytkiem. Niemieckie samoloty zrzuciły na nich bomby, strzelając do bezbronnych cywili i dzieci z karabinów maszynowych. Razem z uciekinierami z Warszawy nasz tata doszedł do Garwolina. Jak nam potem opowiadał, w pewnym momencie nadleciały niemieckie samoloty i zaczęły ostrzeliwać idących szosą cywili. Niedaleko szosa stała chata, do której skryli się uciekinierzy. Tata został w sadzie chowając się pod drzewem, wyjął obrazek św. Krzysztofa i się modlił. Zrzuciona z samolotu bomba trafiła w chatę, w której byli uciekinierzy i wszyscy zginęli. Tata po tym zdarzeniu natychmiast wrócił do Warszawy. Po powrocie załatwił z panem Ordyńskim, dyrektorem Prudentialu, aby zezwolił rodzinie w czasie bombardowania stolicy przebywać bezpiecznie w schronach tego budynku.

Moje wspomnienia właściwie skończyłam, ale nie wiedziałam dokładnie jak to było we wrześniu 1939 roku, kiedy wojska niemieckie zaczęły maszerować w głąb naszego kraju. Wiadomości udzielił mi nasz brat stryjeczny Lech Lesiński. Wymienił liczbę Niemców mieszkających wówczas w Polsce na około 3 milionów. Mieszkali po sąsiedzku z Polakami będąc szpiegami. We wrześniu 1939 roku siali propagandę, aby cywile z dobytkiem wędrowali drogami i szosami na wschód tym samym blokując drogi wojsku polskiemu. Jednocześnie pomagało to niemieckim samolotom w wybijaniu polskiej ludności.

Kwiecień 2011